Głos w dyskusji o roli kobiety w Polsce jutra

„Bez opłotków mechanicznej cnoty"

Kobieta jutra to „człowiek świadomy", nie sztuczny anioł, karmiony cnotą

Po zamknięciu ankiety młodego pokolenia kobiet polskich, które wypowiedziały się na temat roli kobiety w Polsce jutra, otrzymaliśmy szereg listów z uwagami i spostrzeżeniami. Spośród listów drukujemy jeden bardziej charakterystyczny, mimo iż z niektóremi sądami w nim wyrażonemi nie godzimy się absolutnie. (Red.).

Wprawdzie nie zaliczam się ani do młodego pokolenia Polek, ani do działaczek społecznych, pragnę łabym jednak dorzucić swój „dziki" głos do ankiety na temat: „rola kobiety w Polsce jutra".

„ABC" pisze w wezwaniu: „niebardzo orjentujemy się, jako zbiorowisko, w jakich granicach wyraża się świadomość kobiety w odpowiedzialności za przyszłość". Słusznie, ruch kobiecy nie zakreślił właściwie wyraźnych konturów, co z sobą niesie. Kobiety walczą o swój byt, o pracę, o prawo do pracy.

Młode pokolenie kobiet akcentuje w swych wynurzeniach dominującą tęsknotę do życia rodzinnego, pracę zawodową uważając, jako mus - konieczności.

Śmiem twierdzić, że właśnie ten mus jest dobrodziejstwem, co zmieni kobiety i zmieni życie.

LOS KOBIETY

Czem było życie kobiety dotychczas? Dziewczynce nie mówiono: masz liczyć na swoje siły, rozwijać własne możliwości, tem podtrzymujesz słabszych od ciebie, twoje stanowisko w świecie zależy tylko od twoich własnych zasług. — Zato słyszała: losem kobiety jest wyjść za mąż, stworzyć życie rodzinne; kobieta musi się podobać; co wolno mężczyźnie, to nie kobiecie itp.

GIEŁDA MAŁŻEŃSKA

Jakiż to wpływ miało na życie? — Z jednej strony towar, z drugiej nabywca. Pierwsza strona urabia swoją psychikę do roli łowcy, wysila inteligencję do rzeczy małych, do przebiegłego posługiwania się wszystkiemi sprężynkami, potrzaskami, — z drugiej nabywca taksujący materjał na giełdzie małżeńskiej, z lekceważeniem, nawet wzgardą, w poczuciu swej męskiej ceny. Następuje małżeństwo... czy trzeba o tem mówić! dosyć jest wziąć do ręki pierwszy lepszy dziennik.

Tu czuję, że niektóre kobiety powiedzią mi: „O, nie. Kobieta powinna wychodzić za mąż tylko z uczucia". Odpowiem, że to jedna więcej obłuda. Co być powinno — jest mgłą, a zostają fakty. Dokąd kobieta będzie patrzyła na mężczyznę jak na źródło swego utrzymania, dawcę tytułu mężatki, stanowiska i prawa do macierzyństwa — nic z miejsca nie ruszy.

Próżne będą tedy nawoływania do nierozerwalności małżeństwa i podniesienia jego godności, wołanie pójdzie nadal swoją koleją, a życie swoją.

KOBIETA — RÓWNORZĘDNY CZŁOWIEK

Chłopiec już od dzieciństwa nie może się osłuchiwać, iż co wolno jemu, to jego siostrze nie, dziewczynka ma wiedzieć, że będzie sama zawsze pracowała na swój chleb. Obowiązki jej będą, jak słusznie zaznaczyła p. H. Miedzińska, zróżniczkowane odpowiednio do jej sił fizycznych. Jedynie niezależność materjalna, prawo do pracy na wszystkich stanowiskach da kobiecie poczucie swej wartości i podniesie ją w oczach mężczyzny do roli równorzędnego człowieka. W takich warunkach, jeżeli przy pracy dwoje ludzi w pełni uświadomionych pozna się należycie i, nie powodowani żadnemi innemi niemoralnemi pobudkami, zadecyduje, że im będzie z sobą dobrze — małżeństwo ich da gwarancję trwałości.

PRAWO MACIERZYŃSTWA.

Dalej kobieta jutra upomni się o swoją największą krzywdę, o zduszony swój instynkt — prawo do macierzyństwa. Zburzyć muszą kobiety okrutny przesąd, że matkami wolno zostać tylko wybrankom z areny małżeńskiej. Około 40 proc. kobiet skazano na miano „bezużytecznego ciężaru". Wreszcie musi przeniknąć do pojęć zrozumienie, że kobieta zdobywająca sobie własny dostateczny kawałek chleba, a pragnąca być matką — jest nawskroś uczciwym elementem. Jedyną zaporą tu powinny być względy eugeniczne i poczucie odpowiedzialności. Danie życia człowiekowi — to wielka rzecz!

Prowadzi się politykę populacyjną, łamie się w rozpaczy ręce, że statystyka wykazała zbyt mały procent. A w jakich środowiskach ten przyrost jest największy? Tam, gdzie nędza, gdzie przyjście każdego dziecka uważane jest za nieszczęście, gdzie wyrastają przyszli przestępcy. W imię czego, w imię jakiego dobra zabroniono wartościowym kobietom zostać matkami? Liczy się ile małżeństw zostało zawartych, ile dzieci się urodziło u nas, a gdzieindziej, a z drugiej strony rozdziera się szaty nad wzrostem przestępstw. Polska ma mocarstwowe dążenia, a wyrzuca poza nawias swoją najlepszą siłę rozrodczą.

Komunizm zapewnia kobiecie wyrównanie tej największej niesprawiedliwości. Dlaczegóż pomimo to polskie kobiety w znikomej mierze lgną do tego obozu? Dlatego, że kobieta jest konserwatywna, zachowuje, ochrania to z czem się zrosła. Polsce jest obca międzynarodówka, ona wychowała pokolenia, które wywalczyły wolność Polski.

Znów pewno usłyszałabym okrzyk pełen zgrozy: „To jest rozluźnienie moralności!" Kobieto! na chwilę wyjdź z opłotków swojej mechanicznej cnoty. Czy chcesz jako czynnik twórczy przynieść odrodzenie Ojczyźnie? — mężczyzna, mimo wszelkie pozory, czeka na coś więcej od ciebie. Miej odwagę pomyśleć głębiej i sięgnij do swego serca.

Jeżeli młode pokolenie tych rzeczy nie rozważyło, niech się nie łudzi, że zniknie w przyszłości sprawa kobieca.

WZÓR CNÓT?

Jakaż więc będzie rola kobiety w Polsce jutrzejszej? Pożegnajmy się wreszcie z utartem „kobieta powinna". Wzór cnót, sztuczny anioł jest w rzeczywistości bierną, bezkrytyczną, bezwładną i wykoślawioną psychicznie masą. Jeżeli mówi się, że mężczyzna jest głową, a kobieta szyją, dajmy tej szyi godny materjał. Stwórzmy warunki, aby kobieta została człowiekiem uświadomionym, samodzielnie myślącym, odpowiedzialnym za swoje postępowanie, pełnym, liczącym na siebie i kierującym się pobudkami z własnego najgłębszego przekonania — taka kobieta może dać narodowi bohaterów. Celem ostatecznym, około którego wszystko ma się obracać dla kobiety, nie może być mężczyzna. Cele mamy wyższe i jej, kobiety rzeczą jest ku nim prowadzić mężczyznę.

...ska.

* * *

Słusznie podkreśla nasza czytelniczka, że kobieta nie może być dziś traktowana jako towar lub rzecz, że jedyną treścią jej życia nie może być: mężczyzna i małżeństwo. Tego zdaje się już nie potrzeba dowodzić.

Także nikt nie kwestjonuje, iż praca kobiety na warunkach równych z mężczyzną podnosi jej wartość osobistą, społeczną i narodową — zwłaszcza gdy potrafi ona i chce pracować tak, jak mężczyzna, lub nawet lepiej. Ale najcięższy i najpiękniejszy, najbardziej wartościowy odcinek pracy kobiety to jednak dom i rodzina. Praca domowa kobiet, zorganizowanie życia rodzinnego i kierowanie niem to nie jest praca w niczem ani gorsza, ani hierarchicznie niższa od pracy męża, zarabiającego na życie i utrzymanie domu. I jak kobieta niemająca męża i rodziny podnosi swą wartość przez samodzielną pracę zawodową i zarobkową, obojętnie na jakim terenie, gdy wykonuje ją dobrze — tak kobieta, która potrafi prowadzić dom i stworzyć to, tak często wykpiwane, „ognisko rodzinne" — nic nie traci, że teren jej pracy różni się od mężczyzny. Z narodowego punktu widzenia wysiłek dobrego zorganizowania przez kobietę rodziny to daleko większa praca i bardziej wartościowszy trud, niż kiepskie „załatwianie papierków", czy robienie czegoś innego w biurze lub gdzieindziej czy przez kobietę, czy przez mężczyznę.

A już zupełnie nie można się zgodzić z prawem kobiety do macierzyństwa, pojętego, jako możność posiadania dziecka, gdy kobieta sama może materjalnie sobie na to pozwolić... Życie rodzinne poza małżeństwem jest nienaturalne i w żadnym razie nie może być tolerowane. Nie ze względów obłudnej moralności, ale ze względu na treść życia rodzinnego — nie można się na to zgodzić. Etyka katolicka postawiła tu wyraźny kanon, który nie jest dziełem przypadku, ale świadomości wysokiej wartości małżeństwa i rodziny. Młode pokolenie, które przeżywa głębokie odrodzenie religijne i narodowe rozumie to doskonale. Feminizm, który właśnie, jako ruch t. zw. „postępowy" dawał kobiecie swobodę urządzania życia rodzinnego, nawet i poza małżeństwem i bez małżeństwa nie jest dziś ruchem pociągającym kobiety polskie.

(a).

Śmierć w radjostacji

LJUBLJANA, 25. 1. Zdarzył się tu tragiczny wypadek jedyny w swoim rodzaju. Jakby rzeczywistość powtórzyła pomysł z powieści Marvella i Giełguda, w której radjosłuchacze są akustycznymi świadkami zgonu przed mikrofonem.

W rozgłośni ljubljańskiej podczas transmitowania koncertu orkiestry-symfonicznej zauważono defekt w przewodach w studjo i polecono mechanikowi Povce, ażeby nie przerywając koncertu, defekt usunął.

Mechanik przy pracy, przez nieostrożność dotknął przewodów o bardzo wysokiem napięciu i padł rażony prądem, ponosząc śmierć na miejscu. Wszyscy radjosłuchacze usłyszeli przeraźliwy krzyk mechanika, po którym orkiestra przestała grać.

Z teatrów

Pan Twardowski na księżycu

w teatrze dla dzieci T. Ortyma

Teatr Tymoteusza Ortyma wystąpił z nowem przedstawieniem dla dzieci — opowieścią „trochę fantastyczną i trochę możliwą" o przygodach pewnego polskiego marynarza, Wojtka Kapusty, który wyrusza na księżyc w torpedzie i odnalazłszy Twardowskiego otrzymuje od niego w darze eliksir prawdy. Eleksir ten posiada czarodziejską siłę, ktokolwiek bowiem wypije choćby jedną jego kropelkę — nigdy już kłamać nie będzie.

Autor tego obrazka, Ortym, bardzo umiejętnie połączył dydaktyczny charakter widowiska z niepodrobioną i bezpośrednią zabawą. Ani śladu dystansu, jaki panował pomiędzy widownią a sceną na wystawionej niedawno w Teatrze Letnim „Wyprawie po szczęście". Dzieci bawią się znakomicie. Daremnieby szukać w teatrze dla dorosłych podobnego przejęcia się i szczerego reagowania. Osobiście muszę przyznać, iż dawno nie spędziłem tak miłych kilku godzin. Kierownicy teatru Ortyma świetnie wyczuwają, w jaki sposób dotrzeć do dzieciarni, jak ją rozruszać i zdobyć. Raz po raz padają ze sceny pytania, na które widownia chórem odpowiada. Entuzjazm dochodzi do zenitu, kiedy mali widzowie zostają zaproszeni na scenę, aby przez wielką lunetę obejrzyć zamek pana Twardowskiego na księżycu. Warto popatrzyć, jak sześcioletnie i mniejsze jeszcze berbecie wdrapują się po schodkach na scenę, a potem opowiadają rodzicom z roziskrzonemi oczami o swoich wrażeniach.

Nic dziwnego, że rozgrzani tak żywą reakcją widowni młodociani aktorzy (większość wykonawców składa się z dzieci) spisywali się znakomicie. Uderzał w ich grze zupełny brak pretensjonalności i tremy. Śpiewy i tańce wypadły bardzo dobrze. Przedstawienie miało swoisty naprawdę żywy wdzięk. Na specjalne wyróżnienie zasługuje ilustracja muzyczna prof. Piotrowskiego, zapoznająca młodych słuchaczy z całym szeregiem utworów Chopina i Moniuszki.

Jerzy Andrzejewski.

Z muzyki

Wieczór walców J. Straussa

Zamiast piątkowego koncertu symfonicznego w Filharmonji odbył się wieczór walców Johanna Straussa pod dyrekcją Johanna Straussa, ponoć bratanka popularnego kompozytora muzyki lekkiej.

Pomysł nadawania imienia Johann poszczególnym członkom rodu Straussów okazuje się bardzo praktyczny: pozwala on bowiem na przedłużenie tej „dynastji" do nieskończoności. Ten i ów słuchacz na sali koncertowej, a może i spora większość brała p. Johanna Straussa, kapelmistrza wieczoru za autentycznego Johanna Straussa - kompozytora, nie będąc bardzo pewną, czy tamten żyje, czy umarł i wieleby mógł mieć obecnie lat.

Tak czy owak sugestja znanego każdemu od dzieciństwa nazwiska i potęga reklamy zdziałały swoje: sala Filharmonji napełniła się po brzegi, aż do ostatniego dostawionego krzesła rządną sensacji publicznością, mającą jednak z muzyką mało wspólnego. (Podobno 2 tysiące osób odeszło od kasy spowodu braku biletów). Było wielu starszych panów, co może najmilsze wspomnienia swego życia i niejeden decydujący moment z okresu młodości związali z upajającemi melodjami straussowskiemi, ale dotąd nigdy na koncertach nie bywali. Dużo było starszych i młodszych pań, które, wniebowzięte, kiwały w takt walca głowami, ubolewając zapewne, że nie są na balu, [illegible].

Niżej podpisany, słuchając nie frasobliwych wiedeńskich walczyków, galopów i innych, znanych od wielu lat kawałków, doszedł do przekonania, że wolałby słyszeć te wszystkie melodje przy stoliku w kawiarni, przy czarnej kawie, bez skrępowania rozmawiać z sąsiadkami i oddychać w całej pełni lekko erotyczną atmosferą, wytworzoną staroświecką muzyczką rozrywkową, niż siedzieć przykutym do krzesła na sali koncertowej. Zaczynało to być à la longue nużące... i sztywne. Frywolna muzyczka niezbyt pasowała do tstrady koncertowej, jakby zawstydzona doznanym zaszczytem czuła się niewyraźnie, nie dość pewna siebie i swego uroku.

Johann Strauss natomiast, światowiec, salonowiec i zawodowiec, wymachiwał zamaszyście smyczkiem, podegrywał nawet sam na skrzypcach, przewodząc z zapałem „Nietoperzowi"", „Nad Modrym Dunajem"", „Nocy weneckiej", „Róży południa" i innym ogranym szlagierom swego czcigodnego przodka.

Wesołe to... ale i trochę smutne. Jakże daleko jeszcze „muzykalnej" Warszawie do poważnego poziomu kulturalnej stolicy!

Michał Kondracki.

Z radja

Nowa ankieta

W ostatniej (przed dwoma laty) pogadance ze słuchaczami kierownik biura studjów Polskiego Radja p. Eydziatowicz zajął się sposobem, w jaki należy wypełniać formularze ankietowe, dołączane do albumów pamiątkowych, jakie rozsyłane są obecnie tym słuchaczom, którzy je w swoim czasie zamówili.

Nawiasem trzeba wyrazić głębokie zadowolenie, że nareszcie sprawa albumów schodzi z porządku dziennego, gdyż przeciąganie się ich druku i wysyłki (początkowo zapowiedzianej na wrzesień) powodowało dużo niezadowolenia i interpelacyj, zarówno do Radja zwracanych jak i do redakcyj. Swoją drogą, efekt ostateczny (blisko sto tysięcy zgłoszeń na albumy) przewyższył najśmielsze oczekiwania. Czy taksamo będzie z ankietą?

Sądzę — i uważam to sobie za obowiązek jaknajsilniej podkreślić — że nietylko wśród odbiorców albumów do rzadkich tylko wyjątków należeć będą tacy, którzy ankiety nie wypełnią, ale że także i ci, którzy albumu nie zamawiali, postarają się jednak o druki ankietowe. Choć bowiem ankietę obecną określiłem jako „nową", to właściwie trzebaby mówić raczej o „pierwszej". Dotychczasowe ankiety (jak np. co do odczytów dla maturzystów w roku 1934 albo w sprawie słuchowisk w roku ubiegłym) dotyczyły tylko pewnych fragmentów programu radjowego, ta po raz pierwszy obejmuje jego całość. Zarazem zaś, zawierając także odpowiedzi na pytania co do osoby odpowiadającego na ankietę i rodzaju jego odbiornika, da podstawę do sporządzenia statystyki, która przy dalszych posunięciach Polskiego Radja niemałą będzie grała rolę.

Dlaczego każdy powinien na ankietę odpowiedzieć? Podniosły się już z niektórych stron głosy, że „to i tak nic nie pomoże". Tymczasem, jest właśnie wprost przeciwnie. Na podstawie bardzo dokładnej paroletniej obserwacji, jaki oddźwięk znajduje w naszej radjofonji to wszystko, co się do niej lub o niej pisze, muszę stwierdzić, że bardzo mało jest w Polsce instytucyj, w których tak skrupulatnie branoby te wszystkie głosy pod uwagę. Że nie w każdym wypadku skutek bywa natychmiastowy oraz że niekiedy niema go zupełnie — to wynika z jednej strony ze skomplikowanego mechanizmu organizacyjnego, w którym każda reforma musi przejść długą drogę, zanim zostanie zrealizowana, z drugiej zaś stąd, że miarodajne w takich wypadkach jest zawsze „prawo dużych liczb". Niektóre najsłuszniejsze nawet życzenia nie znajdują oddźwięku jedynie dlatego, że zamało osób je wyraża, tak jak z drugiej strony nie raz nawet drobny stosunkowo odsetek słuchaczy może przeforsować to, o co mu chodzi, dzięki temu że występuje solidarnie i głośno o swoje się domaga — podczas gdy strona przeciwna milczy.

Z tego więc względu we własnym każdego interesie leży, aby go przy ankiecie nie brakło. Będzie to bowiem rodzaj powszechnych wyborów — i to niekoniecznie jawnych, gdyż jeśliby ktoś uważał za krępujące dla siebie podawanie nazwiska, może tej rubryki nie wypełniać. W każdym razie „les absents auront tort" — nieobecni sami się wykreślą. Sposobność zaś trafia się po raz pierwszy, od kiedy istnieje nasza radjofonja. Podnosiłem konieczność tego rodzaju ankiety już przed dwoma laty i z pełnem uznaniem powitać trzeba realizację tej myśli. Obecnie wszystko to, co się w naszych programach radjowych, w ich rodzaju, poziomie, wykonaniu itp. nie podoba, może być „wywojowane": ale tylko pod jednym warunkiem, że każdy, kto chciałby przyczynić się do jakiejś pod tym względem zmiany, spełni swój „wyborczy" obowiązek.

*

Przechodząc do omówienia audycyj z ostatniego tygodnia, zacząć trzeba od tej, która miała największy ciężar gatunkowy: czwartkowego koncertu symfonicznego Filharmonji berlińskiej pod dyrekcją Wilhelma Furtwanglera. O walorach artystycznych tego zespołu pisał już dwa lata temu p. Michał Kondracki, znając sprawę z jego występu środowego w sali Filharmonji warszawskiej, więc można pominąć szczegóły, zwłaszcza że program koncertu radjowego był niemal identycznie taki sam (jedynie zamiast Concerto grosso Haendla odegrano „Euryanthę" Webera). Jeśli chodzi o to, jakie wrażenia odnosiło się z transmisji radjowej (gdzie odpada jeden niewątpliwie ważny czynnik, jakim jest sama osoba dyrygenta), to trzeba stwierdzić, że i tu szczególnie uderzało nieporównane brzmienie smyczków, w dyrekcji zaś — nadzwyczaj subtelne opracowanie każdego szczegółu. Najlepszy efekt wywarła symfonja Brahmsa, owiana prawdziwie romantycznym urokiem. Jeśli natomiast w VII symfonji Beethovena, w której efekty dynamiczne były stonowane niezwykle subtelnie, niektóre partje (zwłaszcza Adagio) wypadły przez radjo za słabo, to jest to już wynikiem okoliczności zgoła innego rodzaju.

Żyjemy mianowicie jeszcze ciągle w okresie „zerwanych stosunków dyplomatycznych" między Polskiem Radjo a Filharmonją warszawską i dlatego transmisję można było przeprowadzić dopiero wtedy, gdy artyści berlińscy koncertowali w Poznaniu. O ile jednak transmisje z sali Filharmonji warszawskiej pamiętne są słuchaczom ze swej zawsze doskonałej akustyczności, to niemniej znany jest fakt, że koncerty z poznańskiej auli uniwersyteckiej nie wychodzą przez radjo dobrze. Nie wiem, czy powodem jest błędne umieszczenie mikrofonów, czy też sama już konstrukcja sali — dość że się pianissima skrzypiec gubiły, a n. p. wiolonczele brzmiały aż nazbyt esencjonalnie, słowem wykoszlawiły się proporcje akustyczne i ostatnia, niewątpliwie najwspanialsza, część koncertu najmniej właśnie „brała"...

Szkoda.

*

Powszechnym aplauzem powitano przywrócenie w programach niedzielnych Wesołej Fali, która raz jeszcze pokazała przy tej sposobności, że we Lwowie mają rzetelne wyczucie humoru: „Spieniona fala", w której Tońko, aż na dnie morza szukał „zagubionej orjentacji", skrzyła się pełnym temperamentu dowcipem.

Przeciwieństwo zaś — tak samo raz jeszcze więcej — wykazała warszawska Wesoła Syrena, której słuchowisko o Gulliwerze, choć przezornie określone jako „eksperymentalne", zupełnie zawiodło — przedewszystkiem dlatego, że nic wspólnego z wesołością ani dowcipem nie miało. Niewiadomo, na czem miał polegać eksperyment: chyba na tem, że dorosłym dano rzecz, która właściwsza byłaby dla dzieci.

Ale takie to już bywają nieporozumienia. Bo jak raz, parę godzin przedtem, z tegoż warszawskiego studja usłyszeliśmy przeznaczone dla dzieci słuchowisko „o Helence co poszła na Tarki", dobrze zradjofonizowane przez p. Hertza, ale jakżeż zilustrowane muzycznie przez p. Zarubina! Nie wiem, czy takie ilustracje mają służyć do „umuzykalnienia" młodzieży, ale że mogą przyczynić się do zatracenia u niej słuchu i smaku muzycznego — to pewna.

*

Z tygodnia poprzedniego spadła jedna rzecz, o której choć pokrótce wspomnieć trzeba. W dniu 15 b. m. nadano mianowicie w cyklu pogadanek dyskusyjnych zaimprowizowaną dyskusję pp. Baczyńskiego z Wojeńskim na temat „Powieść kryminalna". Dyskusja była rzeczywiście improwizowana — i to było jej słabą stroną, gdyż wytwarzały się dłużyzny, zatracające tempo. W takich razach lepiej jednak, jeśli się rzecz nieco przygotuje.

Marjan Grzegorczyk.